JEDNODNIÓWKA



SOSNOWIEC 1923 LISTOPAD



JEDNODNIÓWKA

TOW. ART. LIT. w ZAGŁĘBIU

SOSNOWIEC : LISTOPAD 1923.

„**Sztuka** ma zarody nieśmiertelności i jedna jedyna jest tradycją. Czyli więc ze z myślenia chaotycznego ostoi się jedynie **Sztuka**, jako rzecz wieczysta".

WYSPIAŃSKI—Wyzwolenie 2 akt.

WŁADYSŁAW MUSIAŁ.

LEĆ MYŚLI...!

Leć MYŚLI, leć!
Tworzenia pożar nieć,
Szlachetną żądze SŁAWY...!

Na własne siły tylko licz,
ochraniaj w sercu święty ZNICZ,
chroń duszę w świątyń PIĘKNA nawy...!

Zmyj z siebie pochlebstw brud i pył.
Rzetelnej PRACY zakreśl krąg,
nie żałuj MÓZGU, nerwów, rąk...
TWORZENIU oddaj zapas sił.

Z pochodnią PIĘKNA w tłumy idź,
W te ciemne, biedne masy,
wskaż im, że KOCHAĆ, to jest żyć!
Że kochać trzeba po wsze czasy,
Tą naszą ziemią, pola, lasy,
że w tem jest życia cel i kwiat,
że PIĘKNO — to jest cały ŚWIAT!



F. REMBERTOWSKI PORANEK.

ZYGMUNT RYCHTER.

BIBLJOMANKA.

Skulona na dywanie na ziemi jak porcelanowa figurka japońska siedziała przed stosami książek, spowita w szlafrok o wzorzystym deseniu tureckim.

Wycięty, dekoratywny obrazek z gabinetu uczonego.

Tonęła w pyłach wieków.

Mała główka o płowych włosach zaledwie była uchwytna swoimi drobnymi konturami twarzy z pod nagromadzonych dookoła stert dzieł, tomów, miesięczników rozmaitego formatu i wielkości.

Z pomników przeszłości ocierała doczesny kurz szarzyzny.

Pieszczotliwym ruchem dłoni ujmowała poszczególne książki do ręki, zwolna, z namysłem przeglądała... przerzucała kartki... gładziła okładki... pieściła się z tomami jak z własnemi dziećmi, obejmując słodyczą spojrzenia, — dotykiem palców, — promieniejącem ciepłem rozradowanej — zaróżowionej podnieceniem twarzyczki.

Mała bibljotekarka.

Zdawało się, że drobna, czarująca istotka zapomina o ponęcie swoich kształtów — obca jest środowisku, które ją otacza — nie odczuwa — nie widzi — formalnie odchodzi od niego, zatopiona w krainach myśli słów, rzeźbionych twórczością artystów.

Jak ze średniowiecznego skarbca rycerskiego, jak ze skrzyni okutej żelaznemi sztabami — wybiera szlachetne kruszce, kamienie i klejnoty nagromadzone trudem krwi i walk, — przesiewa przez palce z dłoni do dłoni mieniące się brylanty — topazy — szmaragdy — opale i rubiny, oczarowana przepychem ich blasków i potęgą barw.

Owiana jakąś mgłą zasklepienia oddycha tylko sobie dostępnemi sferami ubiegłych epok, — stroi w stylowe kostjumy, — przeżywa tragiczne historje romantycznych heroin, — to znów przędzie rokokową sielankę, — to przekształca w damę oświecenia — lub przepędza godziny na upojnych buduarowych „sam na sam“ z wybranym kawalerem serca.

Zmęczona, a rozgorączkowana zmieniła pozycję, — podłożyła nogi pod siebie i pochylona rozdziela — wybiera — przekłada — segreguje — i coś w notatniku kreśli.

Epoka za epoką — autor za autorem — dział za działem, — a te najdroższe klejnociki — ci najukochańsi — to najbliżej, aby byli wciąż na oczach, — tuż pod ręką..

Mała bibljotekarka nie słyszy, — nie widzi nawet nie czuje, — cała pochłonięta zajęciem, jak ktoś z cicha podchodzi, — niespostrzeżony staje za nią z tyłu, — nachyla się, ujmuje płową główkę w dłonie i przerywa słodką godzinę pracy, odpoczynkiem cichego — ukojnego pocałunku.

ZYGMUNT RYCHTER.

Melodja.

Istniejesz jak zjawisko,
Jak cud tęsknoty wyśniony!
Jesteś mi taka bliska,
Że w twarz twą zapatrzony
Nie widzę świata — ludzi,
Przyziemnej szarej masy
Co tęcze marzeń brudzi,
Lecz — ocz Twych — dwa atłasy
Uczuć Markizo!

Jak z sewrskiej porcelany
Albo wegdewooda glinki
Obraz twój jest utkany
Linjami figurynki,
W upojonych kształtach ciała
Rysunkiem Ropsa Goy'a,
W przegięciach wiotka, śmiała,
Tetmajerowsko — moja
Uczuć Markizo!

Niespitą jesteś czarą
Uniesień — ukochania,
Bez zdrad — poczęta wiarą
Bez jadu — okłamania,
Zamknięta w poemacie
Dziewiczych bioder — piersi
Zmagania ust — krucjacie,
O której śnią najśmielsi,
O Ty nareszcie... wierna
W szaleństwie — nieskalana
Markizo róż z Falerna
Jedyna!..........
— — — — — — — — — — —
— — — — Bo nieznana!

Czesław Jastrzębiec-Kozłowski.

Doczekanie.

Błogosławieni którzy płaczą:
albowiem oni będą pocieszeni.
Math. V, 5.

Więc ty mię kochasz, dziewczyno?
mnie, milczącego przechodnia?
Krwi krople z serca mi płyną,
w mem ręku — blada pochodnia.
A ty mię kochasz, dziecino!

O mnie, spokojnym jak smutek,
jak smutek, co już nie szlocha,
wróżysz płatkami stokrótek,
pytając — kocha, nie kocha?
A płatek wierny stokrótek
zawsze odpowie ci: kocha.

Stanąłem u tynu twego
i z krwi ocieram sandały;
a ty mię kochasz! Dlaczego?
Patrz, co mam w dłoni: krzyż biały;
patrz, dokąd stopy me biegą:
do żmudnej, nienaszej chwały.

Wyszłaś, obmyłaś mi rany,
wyszłaś, otarłaś mi serce.
Krzyż cię przeżegnał drewniany;
znicz, co był przygasł w iskierce,
rozbłysł i z nocnej polany
jasne wykroił kobierce.

Minęła chwila zbyt chyża!
Najsłodsza, wracaj do siebie.
„Żegnam się z moją chudobą
i idę, pielgrzymie, z tobą:
bo dotąd brakło mi Krzyża
i twej Pochodni i Ciebie."

19. 1. 1923.



W. ARASZKIEWICZ — ROZMOWA.



J. WRZESIŃSKI — WIOSNA.

KONSTANTY ĆWIERK.

Ballada.

Gdzie dzisiaj starych murów zwał
bluszcz jeno w całość wiąże,
dawnemi laty wśród tych skał
potężny mieszkał książę.

W komorach góry pięknych szat
i perły z oceanu,
na łąkach tysiąc wielkich stad
i lud poddany panu.

W piwnicach zamku skarbów moc,
klejnoty, sztaby złota,
których codziennie w dzień i noc
żołdaków strzegła rota.

Żywota prędko mijał wiek
przedziwnie zawsze szparki,
książęcą głowę pokrył śnieg,
schyliła starość barki.

Żyjąc na zamku wśród tych skał,
lub w bojów gromkim chrzęście,
potężny książę w sercu miał
pogodę, spokój, szczęście.

Mimo powabu dworskich dam,
choć w sercu żar, ochota,
książę się zawziął i wciąż sam
przepędzał dni żywota.

Nie wiedział, co to łzy, lub szał,
kaprysy, kłótnia, pięście,
dlatego książe w sercu miał
pogodę, spokój, szczęście.

Zdala od łowców głośnych salw
raz w lesie wśród polany
zobaczył w wieńcu róż i malw
białego domku ściany.

Wiadomo... w każdej z takich chat
zazwyczaj mieszka wdowa,
a z nią jej córa, niby kwiat,
co się przed ludźmi chowa.

Nie mówi bajka, jaki cud
(któż uczuć zna zawiłość?)
na inną drogę księcia wwiódł
i zbudził w sercu miłość.

Dość, że na zamku pośród skał,
gdzie rzesza wojsk orężna,
siadła na tronie z hukiem dział
młoda i piękna księżna.

I mówi bajka: książe ów
za skarbów swych mnogości
sprawił, że młodość weszła znów
do jego starczych kości.

I mówi bajka: książę ten
za perły i kobierce
zakupił każdy lubej sen
i myśl, i całe serce.

Powiada bajka, łżąc, jak z nut:
nietylko w bojów chrzęście,
lecz zawsze książę miał, jak wprzód
pogodę, spokój, szczęście.

ZYGMUNT RYCHTER.

„POKOIK PAMIĄTEK".

W małym pokoiku tłum osób.

Dwa skromne łóżka, parę niezbędnych mebli — lampa zwieszająca się u sufitu, okryta lila abażurem, — wszystko to stare, wiekowe, okurzone pyłem przeszłości — nietylko że spokojne w tonie linji i barwy, ale wzbudzające szacunek i powagę dla czystego stylu minionej epoki.

Miejsca mało — a jednak tyle osób się tutaj znajduje.

Sciany poobwieszane olejnymi portretami i całym tłumem najróżnorodniejszych fotografji.

Małe — wizytowe — gabinetowe — skromnie tulące się gdzieś w kącie — to znów większe w ramkach, pozawieszane na widoczniejszych miejscach — jeszcze niewybladłe — niemal, że przed paroma dniami zdjęte z kliszy, lub z żywego modelu.

To ci najdrożsi — najbliżsi...

Ci — których tutaj niema — którzy już nazawsze odeszli — albo co gorsze — nie wiedzieć czy jeszcze przyjdą.

Przy nich skromne wiązanki kwiatów... małe kapliczki zadumy... nabożeństwa łez — które trawione wewnątrz boleścia, już nie są w stanie zabłyszczeć kroplami w kątach poczerwieniałych raną płaczu oczu.

Tutaj nie każdy może wejść, — a jeżeli ma odwagę przyjścia, — powinien z sobą przynieść kwiaty szacunku i zrozumienia macierzyńskiego bólu.

Płocha wesołość zamiera na progu i obleka się w powagę smutku lub ciszy.

Tam znajdują się Ci, — którzy żyją z przeszłością, — którzy choć dla oczu ludzkich przebywają sami, we dwoje, — otoczeni są jednak całym korowodem osób, z któremi prowadzą rozmowę wspomnień, dawnych przeżyć.

Coś niewytłomaczonego tai się w tych ścianach — kryje bolesne przeznaczenie, które początek zasłony prawdy odchyliło — lecz dalej w ruchu wstrzymało się i wytwarza to najcięższe do przeżycia — nieznane.

Arystokratyczna, surowa twarz, usiana zmarszczkami przejść i doznanych zawodów codziennie matowym głosem smutku pyta?

— „Czy jest jaki list? Czy jest jaka wiadomość?".

I w odpowiedzi padają tragiczne słowa:

— „Niema nic".

Zalega milczenie. Matrona w czerni pochyla głowę — ręce jej opadają wzdłuż bioder ruchem codziennie ujawniającej się bezsiły i po chwili przyjścia do siebie — leżące dłonie tasują wypłowiałe karty i z pod palców, na dębowy, ciemny stół kładą się czarodziejskie bajki lub senne marzenia najrozmaitszych pasjansów.

A układają się wschodnimi haftami fantazji całemi godzinami — aż do wyczerpania — aż do znużenia — aż do ukojenia bólu i uzyskania równowagi.

A jest ich nieprzebrana skarbnica.

Głębokie myślące, jak: „Napoleoński", „Śpiąca Królewna", „Dywan" — to znów nieodgadnione, pełne niespodzianek „Kaprysy Panien" — to znów mechaniczne, a przekorne: „Wyrzutka", „Zegar", „Jodełka", „Penelopa" i t. d.

Każdy ma swój wyraz — ma swoje oblicze — ma swoją odmienną treść i formę i jakąś nić łączności z osobami przebywającymi w domu lub postaciami tych, których fotografje wiszą na ścianach.

A obok, jako dopełnienie wykładającej pasjanse, pochyla się nad rozłożoną gazetą dobrotliwa, łagodna twarz starca oprószona mchem siwych włosów.

Palcem prawej ręki wodzi po wierszach druku, a w skurczu lewej dłoni trzyma małą fajeczkę, która mu ciągle gaśnie i zmusza do bezustannego zapalania.

Skupił i zamknął się w sobie. — Żyje w książkach, gazetach — nie mogąc pogodzic się z niezawsze odpowiadającymi mu, kształtującymi się warunkami bytu rodzinnego, społecznego i narodowego.

I zwolna cisza wygładza brózdy ich czół, dopóki twarda rzeczywistość losu wypadkami dnia nie zarwie ich załzawionych serc.

„ŚWIT".

Kiedyż, ach, kiedyż nakształt barwnej tęczy
miłość zabłyśnie nad dusz ludzkich światem?
i człek się stanie człowiekowi bratem?
i hymn o szczęściu na ziemi zadźwięczy?!...

Kiedyż ta ludzkość, co się wzajem dręczy,
twarz swą ze wstydu okryje szkarłatem?
kiedyż uczucie będzie — wonnym kwiatem,
i serca porwie ów zapał młodzieńczy?!...

Kiedyż, ach, kiedyż u Prawdy ołtarza
lud się zjednoczy — i pod stopy nieba
w pieśń pojednania będzie mógł uderzyć?!...

— Oto odrodzić nam się pierwej trzeba!
chwast wyrwać z duszy, co doli zagraża,
oczyścić serce i — w świt lepszy wierzyć!...

E. KŁONIECKI.



PAWELA **PORTRET P. N.**

ZYGMUNT RYCHTER.

Łakocie.

Lubię kiedy mężczyzna w pozie „don Fernanda"
Zarzuca pychy płaszczyk hiszpańskiego „granda",
I zoczywszy przed sobą dziewic barwne tłumy,
Dosiada śmiałych zachceń dzikiego „mustanga",
I ciska przed się spojrzeń — rubinowych dumy!

Lecz jeszcze więcej lubię gdy dzisiejsze panie
Ścielą pragnień kapryśnych rozkoszne posłanie
Na swe oczy obłudnie wdziawszy maskę cnoty,
Aby było tem czystrze ich wdzięków poddanie,
A skrycie śnią o tryumfach paryskiej kokoty!

Lecz najwięcej się śmieję, gdy społeczne mamy
Piorą zawiścią słówek opinję tej damy,
Co była nieprzezorna i drzwi nie domknęła!
Kropla słowa urosła do powszechnej famy,
Niosącej grzbietem fali pianę pikanterji
Zebranej wprost przez zazdrość, w zemsty plotek serji
I puszczonych „na uszko" — w kurs, do wiadomości,
Dla ochrony swych córek przed grzechem miłości.

ZYGMUNT RYCHTER.

Z BUDUARU.

Czem jesteście Wy dla mnie — w sądów [moim chramie,
Wy przeczyste w białości kararyjskie złomy
To znów pełne perwersji — w „saut de lit" — [piżamie!
Albo w „tea gown" skryte... pożądań atomy — ?

Żądałaś odpowiedzi spowita w tkaniny
A ja byłem uraczon krasą twą niezwykle,
Zadziwion poglądami światowej dziewczyny
Gdyśmy we dwoje wiedli — drastycznych słów [cykle!

I dzięki mym tajemnym, dyskretnym wywodom
I twym kuszącym łukom wzwyż i niżej pasą,
Wad twych jestem i zalet aż nadto dziś świadom
I czem się w walce z nami... szczyci wasza rasa.

I choć widzę przed sobą Wenus czy Artemis
I drżę cały z zachwytu — będę jednak ścisły
I, niezłomny w uporze... postawieniu premis,
Że w potęgę Was zbroją... tylko mężczyzn zmysły!



K. ZARZYCKA **KILIMY.**

ZYGMUNT RYCHTER.

NOC.

Cielsko miasta wstrząsają ostatnie drgawki przeżyć i szamotań dnia, w końcu bezwładne obsuwa się w ciemność nocy i złega na barłogu snu.

Martwota i głusza jest jednak tylko zewnętrznym pozorem.

Czai się pod nią orgja i bezwstyd żądz.

Kryje się zmysłowy przepych ciała toczony robactwem grzechu.

Utajone popielisko namiętności.

Wyraz miasta w treści i formie przybiera nowe rysy oblicza.

Linje i kontury zacierają się — gra kolorów ginie a tajemniczość i groza obrazów występuje plamami czerni, tonowana refleksami świateł elektrycznych.

W kręgach promieni lamp żarowych i przy rogach ulic jak pustynne hjeny krążą postacie nierządnic, czatujące na łatwy, niewybredny uliczny połów

Próbują taniego szczęścia.

Zarzucają sieci, zaczepnemi słowy i giestami.

Bucha od nich plugawy war rozpusty i zgnilizna upadku.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

W kawiarniach, restauracjach — gabinetach o szczelnie zamkniętych drzwiach, dusznej atmosferze i wytłuszczonych ścianach—seperatkach z zasuniętemi kotarami o ciężkiej materji tłumiącej wewnątrz odgłosy słów i wszelki hałas, odprawiają się msze podniety, upojenia i przesytu.

Przyduszone serwetą wystrzały szampanowe—woń i smak hiszpańskich i francuskich win — kolory zmienianych likierów i nalewek, zlewają się z barwą i żarem krwi, z szarpiącą nerwy melodją muzyki i wybuchają jakimś nawpół urywanym, histerycznym śmiechem — to znów pijackim łkaniem, — i konają echem w zgrzycie ironji i smutku.

Godność i ambicja ludzka raz wraz dają sobie policzek wyrzutów, by, po sceptycznym machnięciu ręką, jeszcze głębiej pogrążyć się w szaleństwie zatracenia.

Prężą się w objęciach roznamiętnionych, rozdrganych rąk, giętkie, wiotkie kibicie strojnych wykwintnych, ucztujących społem dam i z coraz to większą podnietą wyzbywają sztywnych, krępujących więzów i form taniego panowania nad sobą.

Nikt ich nie widzi i nie słyszy.

Krytyka opinji odgrodzona grubymi murami fasady domu i ślepą dyskrecją służby.

Za pieniądz można wszystko kupić.

Usta takie wilgotne—napeczniałe krwią—nabrzmiałe głodem pocałunków.

Niesyte w pragnieniu...

Drażniąca plama czerwieni...

Oczy—pająk żarów świetlnych—to znów opalizujące mleczną mgłą zmysłowego półomdlenia.

Palce takie niespokojne... gorące...

Muzyka targa panowanie nad sobą i doprowadza do szału.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Na białej, śnieżnej pościeli panieńskiego łóżka spoczywa jasna blondynka czytając książkę.

Białe czerpane strony „erotyków"...

Mińjaturowa lampka elektryczna stojąca na stoliku przy łóżku, zasłonięta seledynowym abażurem, rzuca fantastyczne a miękie smugi barw na filigranowe mebełki pokoju.

Buduar dziewiczych tęsknot i marzeń...

Konfesjonał wyznań i spowiedzi najgłębszych tajemnic...

Aromat zacisznego ciepła i tchnienie tkliwej niewinności przesyca wnętrze.

Do niskich parterowych okien niemal przytykają gałęzie okwieconej lipy, i raz wraz szemrzą po szybach kwiatami poruszanymi lekkim wietrzykiem nocy.

Ciekawy księżyc wdarł się przez siatkę liści, przebił promieniami szkło i oświetlił róg pokoju.

Narcyze i jaśmin mile drażnią powonienie.

Nie jest w stanie dłużej czytać.

Odkłada książkę...

Ciążą jej bujne sploty jasnych włosów.

Haftowany przód cieńkiej bielizny nie jest w stanie wytrzymać naporu rozkwitłego ciała... i z poza ząbków koronkowego brzegu — wychylają się wstydliwe zaróżowione bliźnie siostrzyce gron.

Pąkowia młodych piersi tak chytrze, znienacka podnoszą się i prężą...

Jakaś dziwna — niewytłumaczona, słodka błogość rozchodzi po członkach ciała, układając w stan bezsiły i niemocy.

Parno i duszno...

Parzy ją biel prześcieradła—pali batyst tkaniny —spowijają pierścienie dreszczów i drżeń...

Tuli nożyny do siebie... zwiera kolana... zaciska niemocą palce rąk, oddana na łup napływających fal tęsknoty miłości i pożądania.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — — — — — —

W klubowej sali gry w karty, złoto i banknoty przechodzą z rąk do rąk.

W wysokich, wygodnych fotelach krytych ciemną skórą siedzą partnerzy, pogrążeni w skupionej uwadze pochwycenia wygranej do własnych rąk.

. Padają krótkie nazwy kart — pozycje gry — i twarde, bezlitosne sumy cyfr wygranej, czy też przegranej.

Całym djalogiem—to ruchy rąk i mimika twarzy.

Kurczy się ona i mnie nerwowemi drgawkami.

W okół artystycznego pająka, zwieszającego się z nad rzeźbionego sufitu rozsnute tumany mgieł z wonnych, wyborowych cygar.

Lokaje opięci we frakach usługują bez szelestu przynosząc na nieme skinienie chłodniki, wino i czarną kawę.

Tak ciągłym nierozerwanym łańcuchem noc w noc tygodniami i miesiącami...

Jak inni — również i On.

Dystyngowaną, arystokratyczną twarz z dziada, pradziada, dziedzica nazwiska i fortuny, obleka wyraz zmęczenia, wewnętrznej nudy i niesmaku.

W saloniku opuszczanej żony przylegającym do sypialni światło jeszcze niezgaszone.

Młoda, pełna życia i temperamentu nieopatrznie pozostawiana na łup samotności.

Zlekka tylko przyćmione, pozwalające dostrzedz zarysy ustawionych mebli i postacie siedzących osób.

W miękkich stylowych aksamitnych zagięciach, załamach garnituru buduarowego i ponętnie porozrzucanych pufów i kozetek... czatuje nienasycony grzech zdrady.

Przytuleni do siebie namiętnym chwytem uścisku, przeżywają minuty pożegnania.

Ona — słuszna, pełna w kształtach, lecz gibka, elastyczna w ruchach — dumna ze swej piękności,



J. WRZESIŃSKI ZIMA.

rozrzutna w bogactwie udzielanej rozkoszy—i On—od lat dziecęcych kolega i przyjaciel męża — a jej ami.

Jeszcze jedno przegięcie — jeszcze jedno wpicie się ustami w jej rozchylone wargi i pulsujące namiętnością piersi—poczem głębokie do dna duszy spojrzenie — i szybka ucieczka z cudzego ogrodu czarownych kwiatów.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Kabaret „północy".

Końcowy efekt...

Szczyt napięcia nerwów...

Nie z filmu ekranu kinowego — ale żywa tancerka, spowita po kostki czarnym pluszowym płaszczem, elastycznym krokiem ukazuje się na scenie.

Załamy i zgięcia fałdów pozwalają wyczuć boskie piękno plastyki ciała.

Spazm zmysłów. .

Zrzuciła okrycie...

Okrzyk zachwytu, uznania i pokory.

Ostatnie słowo rzeźby.

Czysty, nieskażony — a źrały gorącością lata kwiat dziewiczości.

Za cały przepych ubioru srebrne napierśniki, wężowe naramienniki—włosy ujęte w lśniącą siatkę i na biodrach przetykany perłami, rozszerzający przodem pas.

Spina go krwawa rubinowa róża...

Klamra żywota...

Dostojność linji i śnieżność karnacji.

Naga, oślepiająca prostota piękna.

Na ciele brylanty świateł — jakgdyby wyszła z kąpieli fal — nakrapiana kroplami przezroczystej źródlanej wody.

Albastrowy welin nacieniony siecią żyłek niebieskich.

Poruszyła się.

Założyła pod głowę dłonie, uniosła na palcach, przegięła i zachybotała w biodrach.

Szlachetna owalność ud, napięty łuk bioder, wzniesienie muszli łona, uwypukliły artyzm rysunku.

Kwartet smyczkowy poddaje rytmem upalną melodję tańca wschodniego.

Splot przegięć, pochyleń — a potem, wir, burza — nawałnica ruchów i obrotów.

Oddechy wstrzymane — wtłoczone z powrotem w piersi.

Postacie patrzących zakute w raz przybranych pozach.

Oczy zamierają w spojrzeniu.

Nie są zdolne napoić rozkoszą obrazu.

Palce do krwi wpijają w dłonie sąsiadek.

Jedna zawrotna gama skrętów.

Wtem błysk — i znieruchomienie...

Rubinowa róża opada do stóp...

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Wichura szaleństwa wionęła po sali widzów.

Grube mury ścian nie przepuszczają na ulicę najmniejszego odgłosu zabawy ani promyka światła.

Reżyserja wycyzylowana.

Dla gości zapewnione bezpieczeństwo i niety kalność.

Akcesorja nocy wszystko potrafią ująć i pochłonąć w swą czerń złowrogiego milczenia.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Demon zła—bezbrzeżnych pól ciemności roztoczył nad światem złowieszcze skrzydła władania.

Zasiadł na tronie wzgórz pod baldachimem migocących gwiazd, podparł kamienne, nieugięte w rysach oblicze dłońmi — i lubieżny szyderczy wzrok zwycięzcy zatopił w rozpościerające się u jego stóp skłębione mrowisko domostw pałaców i fabryk.

BRZUCH i PASEK.

Pasek, co się zaciskał na bezbronnym Brzuchu,
Widząc, że ten wciąż chudnie, tryumfował w duchu.
Lecz ów rzekł mu: — Ostrzegam! że zbierzesz, coś
[wysiał:
Gdy ja schudnę zanadto — to ty będziesz wisiał!

SZPILKA i SZPADA.

Rzekła Szpilka do Szpady: — Ongi byłaś w modzie,
Teraz nawet na wojnie, nikt tobą nie bodzie,
Dziś bowiem ja króluję — kto przeze mnie skuty
Długo czuje me żądło: mam koniec zatruty!

ARJOT.

ZYGMUNT RYCHTER.

PARK.

W zalewającej powodzi zachodzącego słońca szerokopienne drzewa kąpały w barwach karminu, granatu i fjoletu rozłożyste, konary i gałęzie zaledwie opruszone drobniuchnymi zwiastunami zieleni listowia — wyklutymi z pączków, pokurczonymi, nierozprostowanymi listkami.

Szkielety drzew wyciągały się — prostowały po zimowym śnie rozbudzone do życia ożywczym ciepłem promieni, pęczniały nabiegiem soków, prężyły w pieszczocie upojnych powiewów, unoszących falami przestrzeni, słodkie, narkotyzujące wonie przebudzenia się wiosny.

Na mrowisku ludzkizh żądz, — niepokoi — brudnych przetargów o życie, — na nieustający jarmark sprzedaży własnej wiedzy i zdolności jak towar kramarczny na targowisku skorupy ziemi i w jej głębinach wybijających ludzką dłonią chodniki bogactw czarnych djamentów, kładła się soczysta plama gazonów, trawników, szpalerów drzew i krzewów, — cała siatka alei i ścieżyn.

Orzeźwiające ustronie parku z melancholją ciszy i ułudami marzenia.

Tęcza kolorów ostatnie swoje blaski kładła na tę oazę wytchnienia.

Słońce zaszło.

Przestrzenie począł zalewać zmierzch — a krajobraz przyrody zasnuł mrok.

Okrągły staw począł się zwolna układać do snu.

Jeszcze zadrgał falą — a gdy majestatyczny łabędź znikł w czarodziejskiej chatce, ukrytej w małej grocie z kamieni — powierzchnia wody stała się martwą taflą spokoju.

Szare mury gotyckiego kościoła zasklepiały się modlitwą w sobie — zaszyły w gąszczu rozłożystych koron drzew i zamknęły oczy dnia na park i jego odbywające się dziwy godziną zmierzchu.

Jakieś błogie, słodkie rozleniwienie przelewało się w falach powietrza.

Nikt nie podpatrywał i nikt nia przeszkadzał.

Nikt nie wpijał się natarczywością spojrzenia w ich twarze — i nikt nie podsłuchiwał słów.

Mowa mogła być czystą nieskazitelną w treści — a głos mógł dźwięczeć prawdą brzmienia.

Ruchy mogły być naturalne, nieskrępowane obłudą praw towarzyskich i czczą fałszywą moralnością tłumów.

Piękno ciała i duszy mogło oddychać godziną wolności dostrajając się do tła otoczenia.

Z początku szli obok siebie spowici rozmową.

Zamilkli...

Poddali się czarowi wieczoru i upojeni zapachami rozkwitającej zieleni przybliżyli ciałami do siebie — ujęli dłońmi w pół i przytuleni, wolno — jakby zaczarowanym krokiem szli milcząc, w zachwycie i upojeniu...

A prowadziła ich młodość i piękno.

Wiodła tęsknota zapomnienia szarzyzny dnia — odcięcia się od krzykliwej pstrokacizny pospólstwa kształtów i ducha.

O PROMIEŃ SŁOŃCA.

Gdyby mi wichrów poświsty,
w dzień chmurny, mglisty,
przyniosły nowinę końca...
Nie błagałbym o łaskę bytu,
lecz o to, żeby z błękitu,
rzucono mi promień słońca!

A gdyby, mi wichrów poświsty
w dzień chmurny, mglisty
zawyły o nocy bez końca...
Pójdę w noc ciemną bez lęku,
bez skargi i bez jęku,
bo z nocy, — jest droga do słońca!

WŁADYSŁAW MUSIAŁ.



F. REMBERTOWSKI **REKONWALESCENTKA.**

Czesław Jastrzębiec-Kozłowski.

Pani Ili Myszkowskiej.

Czasem jakieś nic, ot, kwiatek jaki,
jaki goździk biały lub czerwony,
myśl ci popchnie w zagrzebane szlaki —
że zdumiony stoisz, zapatrzony,
posmutniały...

Czasem jakieś nic, ot, woń perfumy
wskrzesi w myśli znany goździk biały —
i już pełnyś tęsknot i zadumy
posmutniałej.

Czasem piosnka dawno nie słyszana
w myśli z kwiatem łączy się i wonią:
znany goździk i perfuma znana
z dawnej piosnki cudem się wyłonią.

A najwięcej się upiorów kryje
w odtworzone, znane rysy czyje.
I gdym patrzał na ten portret mały,
znanych perfum wonie mię owiały
i słyszałem znów powrotne dźwięki
znanym głosem śpiewanej piosenki
i ze stołu śmiał mi się czerwony,
a tuż obok płakał goździk biały —
że zdumiony stałem, zapatrzony,
posmutniały.

26. II. 1923.

BOLESŁAW IWAŃSKI.

ŻEROMSKI i WĘGIEL.

(Szkic literacko-krytyczny).

Z pewnością nie zdajemy sobie sprawy z tego, że Stefan Żeromski, jak żaden inny autor w świecie, porusza w swych nowelach i powieściach społecznych cały szereg głębokich zagadnień natury socjologicznej. Większość bohaterów w dziełach jego — to działacze społeczni. Ale nie w tem zwykłem, wyszarżałem tego słowa znaczeniu. To są ludzie, żywi, blizcy nam i drodzy.

Ich słowa i czyny przekonywują nas i zjednywują dla dobrej sprawy.

Autor wywiera przez dzieła swe przemożny wpływ uszlachetniający na społeczeństwo swoje, pomimo—albo może właśnie dlatego—że nie usiłuje żadnego wpływu wywierać.

Jest wielkim poetą. Sercem całkowicie zespolony z sercem narodu polskiego, czerpie tematy zarówno z naszej przeszłości historycznej jak i z zagadnień współczesnych, tworząc typy ludzi przedziwnie pełne prawdy psychologicznej — rzeźbione marmurem twórczego słowa.

Jednym z takich typów jest Ryszard Nienaski, bohater trylogji („Nawracanie Judasza“, „Zamieć“, „Charitas“).

I znowu w jego postaci uwypukliła się cała głębia talentu Żeromskiego.

Ryszard Nienaski jest człowiekiem żywym i typem tak pełnym artystycznego wyrazu, iż przy czytaniu trylogji ma się to formalne złudzenie, że postać jego siedzi przy nas, że z nim rozmawiamy, że w oczach jego widzimy uśmiech lub ból serdeczny.

Architekt Nienaski obdarzony został przez Żeromskiego energją niespożytą, którą chce poświęcić z radością przy każdej sposobności dla dobra społecznego. Jest to szczególnego typu fantasta, ideolog czy też idealista, którego projekty i zamierzenia mają jednak grunt realny, cel widoczny. Jego słoneczna fantastyczność polega tu na rozmachu na zapale, z jakim przystępuje do swych dzieł.

Los czy kaprys woli autora, każe mu znaleźć się w tej rzadko spotykanej a nader szczęśliwej sytuacji, że nagle otrzymuje do swej dyspozycji w Paryżu bardzo wielki majątek.

Żeromski w tym momencie daje dowód wysokiego zrozumienia, że w Polsce współczesnej na czoło wszelkich zagadnień wysuwają się coraz bardziej zagadnienia ekonomiczne.

Co postanawia uczynić Nienaski z darem, niespodzianie otrzymanym do swego wyłącznego rozporządzenia? Czy zawłaszczy go i przetraci w mniej lub więcej pomysłowy sposób, czy zamieni go dla siebie na rentę, czy odda go do dyspozycji jakiemuś „Komitetowi obywatelskiemu“ — do przedebatowania?

Nie.

Przedewszystkiem Nienaski uzna na zawsze w imieniu swojem i umiłowanej żony, iż cały kapitał jest własnością narodu polskiego.

Następnie on, jako członek tegoż narodu, posiadając wiarę w to, że należycie zużyć zdoła pozostawione do swego rozporządzenia dobra materjalne ku możliwie największemu pożytkowi społecznemu, postanawia zaprządz siebie i kapitały do pracy wytężonej, nieustającej, twórczej.

W tej chwili Nienaskiemu (Żeromskiemu) przychodzi na myśl węgiel.

Ten czarny materjał, który obok słońca, wody i powietrza jest największem i najniezbędniejszem źródłem energji, a w dzisiejszych czasach jest podstawą uprzemysłowienia kraju; umożliwia on rozwój i rozkwit materjalny, jest więc potężnym czynnikiem dobrobytu społecznego oraz potęgi państwowej.

Nienaski rzuca się do eksploatacji węgla.

Wykupuje w Zagłębiu Krakowskiem tereny węglowe i stopniowo nabywa prawa do eksploatowania wnętrza na nadaniach górniczych, znajdujących się w obcych (niemieckich i austrjackich) rękach, sprowadza tachników i górników, opracowuje plany i studja, bije szyby, buduje kopalnie.

Rozpoczętego dzieła nie dokonał. Zostaje zabity. Tragicznie zakończyły się dzieje tego romantyka-ekonomisty. Ci, praktyczniejsi, co majątek po nim idealiście odziedziczyli, prac jego w takim zakresie już nie kontynuowali.

Zastanawia nas kwestja, czy z punktu widzenia krytyki literackiej słusznie uczynił Żeromski, poruszając w swej trylogi, między innymi motywami, wyżej wyłuszczone zagadnienie ekonomiczne i opierając na niem znaczną część budowy swego dzieła?

Niewątpliwie tak.

Zająć musimy tutaj stanowisko, że twórcy wolno jest poruszać wszelkie zagadnienia z warunkiem jednak, że przedstawi je w sposób prawdziwie artystyczny, oryginalny, żywo przemawiający do wyobraźni, nie wywołujący w czytelniku wrażliwym uczucia nudy, niesmaku lub odrazy.

A czy sam pomysł wprowadzenia górnictwa do powieści nie jest zbyt fantastycznym?

Sądzę, że nie. Najprzód dlatego, że Żeromski ujął zagadnienie w ten sposób, iż znalazła się ono jak gdyby na krawędzi zagadnienia realnego i fantastycznego. Następnie powszechnie wiadomem jest że w Małopolsce w swoim czasie pracował znany działacz na polu pracy społecznej oraz ne polu górnictwa węglowego i naftowego, inż. Stanisław Szczepanowski, którego bodaj że treścią życia były te właśnie myśli, które poruszył Żeromski. Nic dziwnego więc, że idea ważności i potęgi węgla rozpłomieniła wyobraźnię artysty.

Wreszcie, czy z punktu widzenia nauki ekonoki społecznej można zgodzić się, aby tematy takie mogły służyć za tworzywo w powieściach?

Oczywiście.

Tak mało zastanawiamy się nad ważnością zagadnień produkcji wogóle, a produkcji węgla w szczególności, że nawet tego rodzaju „popularyzacja“ jest nie tylko że dopuszczalną ale nawet pożądaną tembardziej że ujęta jest piórem plastyki pierwszorzędnego talentu pisarskiego w Polsce.



W. ARASZKIEWICZ NOC KSIĘŻYCOWA.

Konstanty Ćwierk.

W mojego kałamarza...

W mojego kałamarza bezdenne czeluście
zajrzy promień, co trafem do mej nory
[wpadnie
i miesza złotym palcem w czarnym inkauście
i skarbów sezamowych poszukuje na dnie.

Przed skonem w noc ponurą na jej czarnej
[chuście
Gość jest pewien, że wieszczą tajemnicę
[skradnie,
Wdzięczny jestem, że szpera długo
[w inkauście
i wierzy, że są skarby w kałamarzu na dnie.

Próżno szuka ów promień, — prawdy
[nie odgadnie,
Bo mu jej nie odkryje — to nie w moim
[guście,
Chyba to, że rozpaczam, gdy spojrzeć
[wypadnie
W mojego kałamarza bezdenne czeluście.

ZYGMUNT RYCHTER.

KULTURA i KOBIETA

(Uwagi na marginesie).

Jeżeli chodzi o omówienie obecnego wyrazu życia kulturalno towarzyskiego i zapoznania się z jego przejawami to dla pewnych zasadniczych porównań i refleksji jakie z tego tytułu będziemy musieli wysnuć, winniśmy jednak w krótkości rzucić okiem wstecz — poza siebie i stanąć u podstawy prawideł, a raczej związań na których to życie kulturalno towarzyskie się opiera i tworzy.

Kultura życia towarzyskiego związana jest z pojęciem i wartościami tak zwanej „estetyki społecznej".

W tym wypadku ta cała etyka zamiast mówić o utworach sztuki — o arcydziełach natchnienia — jego tworach, przywłaszcza sobie za teren działania pole towarzyskiego życia, jego stosunków i objawów.

Jest bowiem fakt stwierdzony, że między umysłowym i artystycznym życiem społeczeństwa — a jego życiem realnem istnieje związek niewidomy — przebija się tutaj ścisła relacja między jego ideałem, a warunkami realnego bytu — między poezją, a życiem. Uczy nas tego historja sztuki, uczy historja literatury; uczą w końcu dzieje całej cywilizacji.

Otóż mówiąc o zmyśle artystycznym jako o żywiole towarzyskim i społecznym dotykamy się właśnie tej strony estetyki, gdzie ona przestaje nam mówić o samych tworach artyzmu, a zaczyna mówić o formach samego życia — gdzie przestaje oceniać artystów i wieszczów, a natomiast na szali smaku i piękna... waży nas samych, nasz tryb życia, nasze stosunki publiczne i towarzyskie nasze zwyczaje.

Po za ogólnym promieniowaniem centralnych ośrodków cywilizacji — po za przenikaniem się wzajemnym cywilizacji narodów i wpływu sąsiadujących kraji — każden naród posiada pod względem estetyki życia towarzyskiego pewne odrębne cechy sobie właściwe — jak i dany wiek swój dominujący styl, wyrażający się nazewnątrz specjalnymi rysami.

Wiek XIX i XX jeśli się nań zapatrywać będziemy ze stanowiska estetycznego stoi daleko niżej od wieków poprzednich.

Wiek nasz pozostawi po sobie smutne karty w dziejach historycznego piękna — jest to wiek bezbarwości — wiek niwelacji i trywialności.

Różnica polega na tem, że w czasach poprzednich gdzie sztuka nie była wyłącznie światem wybranym, ale przenikała wszystkie niemal stosunki codziennego życia, pojmowania może i w sposobie prostoty naturalnego patrzenia na świat, przejawiał przewagę fantazji nad myślą — a duch ludzki pracował więcej imaginacją niż rozumowaniem.

Dziś przeciwnie — rozumowanie przemogło fantazję — a myśl nietylko wygórowała nad formą, ale co więcej formę tę do najpodrzędniejszego zepchnęła stanowiska.

Dzisiaj przywyczailiśmy się więcej myśleć o rzeczach niż sobie je plastycznie wyobrażać.

Owóż aby społeczeństwo nowożytne powrócić mogło do form pięknych i aby sztuka wniknęła niejako w krew i kość jego — potrzeba aby powróciło do dawnej starożytnej świeżości i do malowniczości wyobraźni.

Gdy wiek nasz przestanie być dorobkiewiczem — płytkim agentem taniego zarobku, gdy syt będzie swych skarbów i swych zdobyczy, a przynajmniej gdy w poczuciu niesłychanej pracy, której już dokonał — zapragnie także chwil spoczynku — natenczas może w spółczesnych swych formach, w swych stosunkach, obyczajach, zwyczajach — stanie się napowrót malowniczym.

Wśród zbarbaryzowania jakiemu jednak uległo życie w wieku XIX i w latach powojennych, zabite zostało poczucie klasycyzmu i piękno — — ta dawna estetyka życia.

Wszystkie estetyczniejsze umysły ogarnia w tym nerwowym wieku ciągłych zwyżek i szalonego pędu taniej wrażeniowości, a raczej niesytu użycia — coraz rozlewniejsza dziwna tęsknota, budzi w nich uczucie jakiegoś rozbratu między idealniejszym instynktem, a suchą prozą życia — i wieczne szukanie zgody między realizmem wieku, a formami piękna — co nawet stanowi znamienną cechę współczesnej poezji sztuki (formizm, kubizm, futuryzm). Między innemi najwięcej przemawiającym wyrazem ubiegłej estetyki życia towarzyskiego były tak zwane „salony“, gdzie wśród inteligentniejszych — kulturalnych kół towarzyskich na jego terenie koncentrował się duch umysłowości i artyzmu danego okresu.

Treścią tych salonów była umysłowość, wytworna sztuka prowadzenia konwersacji we wszelkiej dziedzinie życia bieżącego, i przedewszystkiem sztuki piękna.

Wpływ mądrej konwersacji czyli tak zwanego żywego słowa, aż nadto ma ustalony swój wpływ na życie psychiczne, umysłowe i towarzyskie jednostki... i aż nadto dosadnie i rzeczowo wypowiedzieli się w tej kwestji tacy przedstawiciele myśli jak: la Rochefoucauld, la Bruyere, Pascal, Jan-Jakób Rousseau.

Kobieta tutaj świeciła swoje tryumfy, miała rozległe pole wykazywania swoich talentów urodzonych czy nabytych, ujawniając poza zdolnościami towarzyskiemi — kulturę, inteligencję, spryt, dowcip — oraz całą gamę nieodzownej kobiecości... i jej należnych odcieni — półtonów — począwszy od subtelnej salonowej i ujmującej kokieterji — do rzadkiej umiejętności zaciekawienia drugich wartością samej siebie tak pod względem umysłu — piękna jak i uczucia.

Odwróćmy się w tył i zatopmy wzrok w przeszłość. Z zmroków niedalekiej przeszłości wysuną nam się postacie i nazwiska.

Hotel de Rambouillet — salon pani de Lambert — de Geofrin — salony panny Lespinasse — pani Necker — pani de Staël — salon pani Reacmier — Henrieta Herz życie weimarskie — Rochela Levin — pani Szymanowska — pani Franciszka Krasińska — Księżna Izabela Lubomirska — Ks. Izabela Czartoryska — Puławy — Pani Kossakowska i t d.

Cały szereg gwiazd większych i mniej błyszczących siłą swoich talentów i żarem umiłowania piękna i jego najszczerego wyrazu.

Lecz wszystko to przeszłość..

A dzisiaj — szarzyzna — bezbarwność, jeżeli już nie zdecydowana płytkość — obniżenie własnej wartości, dławienie ukrytych zapewne w zarodku zdolności i potrzeb uwydatniających się tęsknotą niezadowolenia, ewentualnie apatji czy spleenu — oszałamianie się tanim i niezbyt wykwintnym tempem amerykańskiego zmysłowego rytmu tańca, co rok to odmiennego i modnego w najświeższym wydaniu sezonu karnawałowego.

O kobieto jak dzisiaj bez smaku tracisz swoją wewnętrzną i zewnętrzną piękność — 'jak nie umiesz jej nietylko użyć, ale należycie ocenić — i chociażby dla samej siebie wykorzystać.

Coraz więcej odchylasz się od swojego artystycznego pierwowzoru i stajesz się niewolnicą dnia — łatwego bezbarwnego przeżycia i rentowego paskarza.

Dziś widząc cię, trzeba śnić o tych arcydziełach przeszłości.

Coraz częściej zapominasz być matką... w chwili kiedy sięgasz siłą nieokiełzanego temperamentu po berło rozrzutnej miłośnicy — to miasto wykwintnej i stylowej... jesteś tylko przeciętną i kapryśną.

Dosyć już o tem.

Mieliśmy przecież zapuścić sondę w tutejsze stosunki życia kulturalno-umysłowego...

Więc podpatrzone zdjęcie migawkowe w słońcu z Zagłębiowskiego „High-lifu“.

Bądźmy ciekawi — a przedewszystkiem stwierdźmy bolesne fakty w milczeniu.

Klisza pozostaje moją własnością — nie wypada z niej czynić odbitek... byłbym niedyskretnym.

Będąc dobrze wychowany powinienem uprzejmie lecz nie bez zjadliwości powiedzieć: „Honny soit qui mal y pense!“

Na terenie Zagłębia pod względem tempa życia, jego nerwowego oblicza nowoczesności — wszystkich naleciałości dzisiejszego pośpiechu, kinematograficznego w pobieraniu płytkiej, powierzchownej wrażeniowości, posiadamy zdecydowane oblicze ruchliwości przemysłowo-kupieckiej — motorem przelewającego się pieniądza pchającego życie szybko naprzód ale niszczącego jego piękno, jego estetykę... a przedewszyskulturę towarzyską.

Cały wysiłek niemal wszystkich sfer dąży do obniżenia estetycznych i artystycznych form zewnętrznej szaty życia.

Niemal że jesteśmy ignorantami tej dziedziny cywilizacji i jej niezaprzeczalnych potrzeb i wartości.

Zapewne — czasy się zmieniają... postęp idzie coraz to inną drogą i wykuwa rozliczne ścieżyny — zależne od charakteru okresu i specyficznych warunków, ale mimo wszystko, mimo nawet czasem niedogodnych warunków powinno przebijać silne dążenie przezwyciężenia trudności i podkreślania wartości i potrzeby tej strony życia.

Lecz i tego nie da się zauważyć.

Godzimy się z faktami zdemokratyzowania społeczeństwa i życia — ale jak na tutejszym gruncie to raczej zbarbaryzowania jego... i apatycznie wzruszając ramionami, powiadamy — jest przecież niedaleko Kraków, no... Warszawa, chociażby nawet Katowice!

Z takimi dysputować nie będziemy — wprost nie warto.

Zacieśniamy się coraz więcej w partje — sfery — stany — obozy — klany — klaniki, opasując murem chińskim jedynego monopolu na przyznanie sobie prawa „dobrego towarzystwa“, a zapominamy o najważniejszem, że przylepienia najponętniejszej etykiety na pustej butelce — nie zapełni jej próżni bez treści.

Powiadają iż życie przenosi się dzisiaj do klubów, lokali, zrzeszeń — cukierni i kawiarni.

Zgodziłbym sie na to... ale czy je wogóle posiadamy — czy mamy postawione na takim stopniu, ażeby mogły być ośrodkiem i podatnym podłożem pod rozwój życia towarzyskiego.

Kluby... tak, ale oddane są wyłącznie pod panowanie przygłuszonego szeptu kart...

Kawiarnie — raczej odstraszają swym wewnętrznym wyrazem i atmosferą trzeciorzędnej podmiejskiej gasonji — niż przyciągają do przepędzenia paru chwil w miłej rozmowie lub przeczytaniu notorycznie, nieposiadanych czasopism, dzienników, tygodników i ilustracyj...

Tak — idziemy bezwątpienia naprzód.

Ha... ha...! Cenimy siebie i piękno życia... powaby — treść i formę.

Dosyć ironji — bo pióro łamię się w niesmaku i rozgoryczeniu do miejscowego społeczeństwa — do samych siebie.



J. WRZESIŃSKI **SMUTNA PIOSENKA.**

ZYGMUNT RYCHTER.

DYWAN KWIATÓW.

W poniedziałek musnął mnie barwą kwiat kamelji
Uśmiech... Amelji!
Zaś we wtorek pieściły zapachem jaśminy,
Zalotnej... Niny!
A we środę akacje całe w puchach bieli
Śniły sen... Eli!
Róże znów się we czwartek śmiały krwią do woli
Z upojeń... Loli!
W piątek znów dumy wzrokiem drwiły chryzantemy
Z perfidnej... Emmy!
A w sobotę kusiły barwą cyklameny
Tęsknotą... Reny!
W niedzielę zaś łzą pereł zaszły gladjole
Na moim stole...
Zaliły centyfolje — krwawe tulipany,
Żem był, wyśmiany!

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Rankiem zaś obudziły wonne hjacenty,
Że dzień poczęty —
I pod stopy upadły koralowe maki
Pragnień oznaki.

ZYGMUNT RYCHTER.

O TEATRZE.

Niezaprzeczoną dźwignią kultury narodowej jest tradycja pierwiastków uczuciowych wyniesione z domu rodzinnego, ale obok tego jako równie potężny czynnik jest tradycja zawarta w dorobku umysłowych i duchowych bogactw narodu.

Dlatego też teatr będący zwierciadłem i odbiciem epoki, wyrazem jej ideałów i pragnień, jej źródeł i dróg w przyszłości, nurtujących wachań i rozdwojeń w dziedzinie myśli i sztuki, powinien być specjalnie na terenie Zagłębia, a przedewszystkiem miasta Sosnowca, wzięty pod szczególną opiekę i pieczołowitość społeczeństwa, jako ta jedyna placówka kulturalna, kazalnia piękna, która skalą poruszanych przez siebie problematów, koncepcji wszelakiego rodzaju, począwszy od linji idealistycznej, aż do twardego realizmu społecznego, mocą swych twórczych źródeł i głębin myśli uczy, kształci i wyrabia tutejsze społeczeństwo pod względem artystycznym, kulturalnym no i poznania wartości scenicznych?

Ażeby praca mogła być doskonała i efektywna, ażeby mogła przynieść pożądane owoce, musi być obopólne zrozumienie, a między teatrem i publicznością zarzucony most wzajemnego zaufania i umiłowania, w przeciwnym bowiem razie wszelkie wysiłki pójdą na marne.

A zadania teatru w Sosnowcu poza ogólnie przyjętemi znanemi i obowiązującemi prawami odnośnie sztuki są rozleglejsze ze względu na rozmaiły charakter zamieszkującej miasto ludności, a trudniejsze do urzeczywistnienia niż się to komu zdaleka na pozór wydaje.

Zasadniczo trzeba wziąć pod uwagę kontrastowo niejednolity poziom umysłowości mieszkańców, co jest objawem prawie każdego miasta przemysłowego, a specjalnie Sosnowca, jako nowego które powstało w niedawnej przeszłości wprost ze wsi, zlało się z osad fabrycznych w większe centrum przed niedawnym czasem i jako miasto istnieje zaledwie kilkadziesiąt lat.

Nie jest to jego wina, jak i w następstwie nie jest winą, że nie posiada za sobą przeszłości historycznej, nieodzownego dorobku kulturalnego, pozostawia wiele do życzenia pod względem topograficznym, posiada znaczne braki i gęste do uzupełnienia luki w dziedzinie szkolnictwa, hygieny, lokomocji, budownictwa mieszkaniowego, podstawowych urządzeń pod rozwój życia intelektualnego i wprost nawet towarzyskiego.

Te wszystkie wymienione braki w miarę możności, jak możemy zauważyć w obecnej dobie uzupełniane, są z drugiej strony indywidualnością tego miasta i na jego środowisku wyciskają piętno lokalnych cech w znacznej mierze odbijających się zarówno na sposobie życia, jak i linji charakteru jego społeczeństwa. Daje się więc zauważyć poza szybkim tempem wprost gorączką pogoni za pieniądzem i łatwym interesem, silnie zakorzeniony materjalizm, jako zrozumiały objaw, czy też oddźwięk przemysłowości centrum węglowego i zawodowej pracy jakiej znaczna część ludności się oddaje.

Obok zwartej masy robotniczej w przeważnej części analfabetów wkraczających dopiero w etat początków elementarnego uświadomienia naukowego — dzięki oświatowej pracy związków, znajduje się cała warstwa inteligencji pracującej umysłowo, niejednolita jednak pod względem poziomu, wykształcenia i co gorsze nie mogąca swoich braków na miejscu uzupełnić i swój horyzont umysłowo-naukowy pogłębiać i dalej rozwijać.

Obok tej sfery urzędniczej, bankowej, spora liczba przedstawicieli zawodów wolnych z uniwersyteckim wykształceniem, zwarty blok inżynierji zatrudniony w przemyśle, rozwijające się szkolnictwo średnie i niższe z dość znacznym aparatem nauczycielstwa—garść tylko kupiectwa polskiego, gdyż rdzeń handlu spoczywa w rękach żydostwa, którzy stanowią jedną piątą część ogólnej liczby mieszkańców, no i ostatecznie wpływ stosunków powojennych drożyźnianych, szeroka ława paskarstwa, zbogaconych przedstawicieli—warstw nuworiszów.

Rozbieżność, chodzenia luzem, nalot walk partyjnych, abnegacja kulturalna, kastowość społeczna i towarzyska, utylitaryzm jako wynik nowej szarej walki o ciężki byt materjalny, obniżenie wartości moralnych, estetycznych i umysłowych — oto dominujące znamiona inteligencji obecnej doby, a w pierwszej linji społeczeństwa sosnowieckiego.

Biorąc to wszystko z całą ostrożnością rozwagi, musimy jednak wypowiedzieć zdanie, że zarówno Sosnowiec, jako miasto pod względem jaknajdalej idącej racjonalnej rozbudowy, jak i jego społeczeństwo pod względem wyrobienia kulturalno-artystycznego pozóstają w etapie, czy na szczeblu rozwoju i tak pierwsze, jak i drugie jest miastem przyszłości.

Te drobne, ale zasadnicze spostrzeżenia musiały być jednak podkreślone i wypowiedziane przed omówieniem war-

tości znaczenia i zadania miejscowego teatru, ponieważ placówki tej w tym wypadku nie można odłączyć od ogólnego tła społeczeństwa jako podłoża i traktować całkowicie oddzielnie i oderwanie, jako wyłącznie par exelance sztuka dla sztuki.

Pośrednio teatr zależy od społeczeństwa, w jakim się znajduje, jak dalece ono jest pod względem kulturalnym i smaku artystycznego wyrobionym.

Jakim go poniekąd społoczeństwo chce mieć, takim go też w znacznej mierze posiada.

Specjalnie zaś teatr prowincjonalny warunkowany jest w swoim życiu i działalności artystycznej czynnikami płynącemi od zewnątrz, w tym wypadku od społeczeństwa, które powinno być ścisłym kontaktem związane, spojone węzłami umiłowania sztuki, zrozumienia jego zadań i wprost moralnej i materjalnej pomocy, oraz żywego, czynnego współdziałania.

Teatr więc sosnowiecki, jako jedyna placówka artystyczna w naszem mieście, jedynie szczere promieniowanie czystej sztuki, ze względu na niejednolity charakter ludności miasta musi w miarę swoich środków i zasobów przyjąć na siebie rolę pedagoga ojczystego słowa i arcydzieł dramatycznych odnośnie rzesz robotniczych, rzemieślniczych sfer uczącej się młodzieży, a nawet szerszej inteligencji łaknącej poznania piękna i duchowego kulturalnego pokarmu.

Teatr prowincjonalny jako jeden jedyny w danej miejscowości nie może iść po linji specjalizacji czy rodzajowości lub eksperymentów artystycznych, jak na to sobie pozwalają zupełnie zrozumiale zgodnie nawet z potrzebą i rozwojem dramatu poszczególne sceny miast stołecznych, czy większych, które mieszczą w sobie po kilka teatrów — celem i obowiązkiem zaś jest jego poza utrzymaniem prawdziwej linji artystycznej repertuaru, zaznajomienia z bieżącemi wartościowemi aktualnościami, udostępnieniem jaknajszerszemu ogółowi społeczeństwa korzystania z przedstawień, jeszcze pewnego rodzaju wszechstronność repertuaru dla zaspokojenia potrzeb kulturalnych różnych warstw umysłowości mniej lub więcej wyrobionych — podnoszenie i wyrabianie smaku artystycznego — przyjęcie na swoje barki ciężkiej pracy kulturalno-wychowawczej specjalnie odnośnie sfer robotniczych i uczącej się młodzieży.

Pod tym też kątem widzenia sprawa bytu i działalności teatru sosnowieckiego już od dłuższego czasu była troską niektórych grup miejscowego społeczeństwaj które uznając niedomagania i trudności, jakie teatr miał do zwalczenia nie mogły jednak zgodzić się z jego dotychczasowym kierunkiem działania artystycznego. Ostatecznym wyrazem i dojrzałym owocem zainteresowania się losem teatru było otoczenie tegoż z rozpoczęciem sezonu w 1922 roku opieką i pomocą przez municypalność miasta i społeczeństwa w formie powołania przez Radę Miejską Komisji Teatralnej na prawach delegacji, która to przy pomocy udzielanego subsydjum miesięcznego z Magistratu przystąpiła do pracy łącznie z dyrekcją teatralną, postawiwszy sobie w pierwszej linji za zadanie podniesienie sceny do wymaganego poziomu artystycznego i udostępnienia jej dla jaknajszerszego ogółu.

Obecnie jak wiadomo sprawa losu teatru wchodzi na nowe tory — jeszcze więcej korzystniejsze dla jego samego, a mianowicie zostaje na dniach zrealizowany projekt umiastowienia teatru, — nabycia na własność teatru przez Magistrat m. Sosnowca.

I to jest bezwględne jedyne racjonalne rozwiązanie zagadnienia troski o miejscową scenę żywego artystycznego słowa.

Bieżący sezon teatralny rozpoczął się niezaprzeczenie pod dobrą gwiazdą, a jeżeli nie wzupełności pod szczęśliwą, to błyszczącą jasnym światłem dążenia ku lepszemu.

Zespół personelu artystycznego w stosunku do ubiegłego sezonu został znacznie powiększony i pod względem indywidualnej wartości scenicznej zarówno w dziale żeńskim jak męskim, zasilony jednostkami znacznego wyrobienia artystycznego, wykraczającemi poza zwyk ą miarę przeciętności, (panie Mrowińska, Zbierzchowska, Heleńska i Topolska, pp. Tański, Opaliński, Jaworski, Morozowicz i Palański).

O wielkim artyście panu Stanisławie Knake-Zawadzkim zbytecznem jest wypowiadanie się, gdyż historja krytyki sceny polskiej bez zastrzeżeń uważa go za największego tragika w Polsce i prawdziwego mistrza gry dramatycznej, oddając mu zasłużone hołdy uznania i należnej niezaprzeczalnej wartości.

Jeżeli więc chodzi o ten podstawowy materjał jako zasadniczy element do pracy teatralnej to jest on, jak na stosunki miejscowe prawie wystarczający, a przedewszystkiem, co można było już do tej chwili zaobserwować, przepojony szczerą ochotą do scenicznej pracy i pozostający na niekłamanym stanowisku głębokiego kultu dla sztuki, umiłowania piękna i własnego zawodu.

Chodzi teraz tylko o niezbędną równorzędność linji dyrekcji, o łączne zrozumienie się i zespolenie w kierunku wydobycia i potęgowania z głębi duszy płynącego sentymentu do sceny i tego najwięcej rycerskiego „chapeau bas" szacunku i uwielbienia przed potęgą sztuki i czystą nieskazitelnością piękna.

Trzeba ją kochać i uwielbiać — żyć w niej i przez nią, wyczuwać jej szmery i szelesty, najsubtelniejsze tony i półcienie.

Trzeba w jej głębi odnaleźć siebie.

Zasadniczo zaś pod tym względem nie powinniśmy mieć żadnych obaw, ani zastrzeżeń gdyż intensywna, szczera zapobiegliwość i znana fachowość pana dyrektora Czarneckiego łącznie z działalnością Komitetu Teatralnego, daje gwarancję ufnego i pogodnego patrzenia w przyszłość, tymwięcej, że dotychczasowy dorobek wystawianych sztuk świadczy korzystnie o prowadzonej linji repertuarowej i sumiennej pracy reżyserskiej, a frekwencja uczęszczających osób do teatru, jasno i wyraźnie przekonywuje, że ubiegły system niechęci i apatji został przełamany i dawno poniechany i że społeczeństwo miejscowe nietylko przekonało się do teatru, ale go otoczyło szczerą opieką, uznaniem i nawiązało pożądany z nim kontakt.

W znacznej mierze dużą zasługą nad rozwojem miejscowej sceny jest wytrawna reżyserska praca pana Knake-Zawadzkiego, pod którego kierunkiem miejscowy zespół cyzeluje, wygładza swoje talenta i twórcze walory artystyczne.

Również musimy podnieść z całym uznaniem zdolności aktorskie i reżyserskie utalentowanego artysty pana Tańskiego.

Z wystawianych sztuk jako bezwzględnie zasługująca na uznanie zarówno pod względem niezaprzeczonej wartości liteackiej, jak wykończonej reżyserji i doskonałej gry, były: Słowackiego „Mazepa", w którym pan Zawadzki kreując wojewodę święcił zasłużone tryumfy,—Mickiewicza „Dziady", w których pan Tański jako Gustaw-Konrad dał poznać miarę swoich zdolności,—Jewreinowa „To co najważniejsze", gdzie pani Mrowińska, Alocińska, p. Tański, p. Morozowicz i p. Palański tworzyli jasne, wyraziste typy, wkładając w nie głębie myśli i szczerość uczucia.

Słoneczną, roześmianą, jasną plamą było wystawienie farsy Ruszkowskiego „Wesele Fonsia", gdzie na pierwsze czoło wysunął się p Jaworski jako pisarz i p. Kubańska.

„W małym domku" Ritnera dało możność pani Topolskiej, Helleńskiej i p. Tańskiemu wytrawną i sumienną grą wydobyć należyte dramatyczne efekty tego arcydzieła.

Wystawiony ostatnio: „Świt, Dzień i Noc" Nicodemi'ego swoją stylowość i liryzm pastelowości zawdzięcza szlachetnej grze p. Zbierzchowskiej i p. Palańskiego.

W przygotowaniu „Wesele" Wyspiańskiego, lecz o tem nie możemy jeszcze nic powiedzieć ponad to, że w zupełności wychodzimy z poza ram prowincjonalności i wkraczamy na linję drogi wielkiej narodowej sztuki

TREŚĆ:

ILUSTRACJE:

Okładkę ilustrował p. W. Araszkiewicz.
Stronę tytułową p. Pawela.
Klisze wykonano w Krakowie w kliszarni p. Jabłońskiego.
Wydawca: Tow. Art. Lit. w Zagłębiu.
Redakcja: strona literacka p. Zygmunt Rychter.
„ graficzna p. Franciszek Rembertowski.
Tłoczono w Sosnowcu w drukarni „Praca".

Cena egzemplarza 300.000 Mkp.

TOWARZYSTWO ARTYSTYCZNO LITERACKIE W SOSNOWCU